

*Antoni Orłowski*  
*„Mrówki”*



*Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,  
Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty,  
Bez celu i bez drogi. Aż niemało czasu  
Nabląkawszy się, w końcu wszedł w głębinę lasu  
I trafił, czy umyślnie, czyli też przypadkiem  
Na wzgórek, co był wczora szczęścia jego świadkiem,  
Gdzie dostał ów bilecik, zadatek kochania,  
Miejsce, jak wiemy, zwane świątynią Dumania.  
Gdy okiem wkoło rzuca, postrzega: to ona!  
Telimena samotna, w myślach pogrążona,  
Od wczorajszej postacią i strojem odmienna,  
W bieliznie, na kamieniu, sama jak kamienna;  
Twarz schyloną w otwarte utuliła dłonie,  
Choć nie słyszy szlochania, znać, że we łzach tonie.  
Daremnie się broniło serce Tadeusza:  
Ulitował się, uczuł, że go żal porusza,  
Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,  
Na koniec westchnął i rzekł sam do siebie z gniewem:  
Głupi! Cóż ona winna, że się ja pomylił!  
Więc zwolna głowę ku niej zza drzewa wychylił.  
Gdy nagle Telimena zrywa się z siedzenia,  
Rzuca się w prawo, w lewo, skacze skrós strumienia,  
Rozkrzyżowana, z włosom rozpuszczonym, blada,  
Pędzi w las, podskakuje, przykłęka, upada  
I nie mogąc już powstać, kręci się po darni,  
Widać z jej ruchów, w jakiej strasznej jest męczarni;  
Chwyta się za pierś, szyję, za stopy, kolaną;*

Skoczył Tadeusz myśląc, że jest pomieszana  
Lub ma wielką chorobę. Lecz z innej przyczyny  
Pochodziły te ruchy. U bliskiej brzeziny  
Było wielkie mrowisko, owad gospodarny  
Snuł się wokoło po trawie, ruchawy i czarny;  
Nie wiedzieć, czy z potrzeby, czy z upodobania,  
Lubił szczególnie zwiedzać świątynię Dumania;  
Od stołecznego wzgórką aż po śródła brzegi  
Wydeptał drogę, którą wiódł swoje szeregi.  
Nieszczęściem Telimena siedziała śród dróżki;  
Mrówki, znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,  
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,  
Telimena musiała uciekać, otrząsać,  
Na koniec na murawie siąść i owad łowić.  
Nie mógł jej swej pomocy Tadeusz odmówić.  
Oczyszczając sukienkę, aż do nóg się zniżył,  
Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył...  
Co pan robi? nie można! niech pan mrówki łowi!  
Panowie tylko prosić są zawsze gotowi,  
A mnie tu mrówki gryzą. Gdzie? Koło kolana.  
Tadeusz ręką sięgnął - już mrówką złapana.  
Czy jeszcze? Pan się pyta a mrówki zuchwałe  
Coraz to wyżej idą! Za pończoszki białe  
Sięgać musiał tym razem bohater szczęśliwy,  
Że jednak krew nie woda, majtki nie pokrzywę,  
Tadeusz sięgnął wyżej, gdzie w cieniu ukryte  
Rosną wstydlive włosy w pierścienie spowite.  
Telimena syknąwszy padła na murawę.  
Tadeusz porzuciwszy na mrówki obławę,  
Otoczył ją ramieniem, ku sobie przycisnął,  
Ogień tajemnych pragnień w oczach jego błysnął,  
Ustami ust jej szukał - znalazłszy, w zapale  
Rozpalonymi wargi miażdżył je zuchwałe.  
Telimena na razie, śmiałością zdumiona,

Odepchnąć zaraz chciała młodzieńca ramiona,  
Się jednak i oddechu w piersiach jej nie stało:  
Dreszcz rozkoszy znienacką objął całe ciało,  
Ubez władnił jej członki, rzucił krew do twarzy.  
A widząc, że Tadeusz na wszystko się waży  
Uległa. Lecz, że wiele doświadczenia miała:  
Ach! jeszcze kto zobaczy" - z cicha wyszeptała.  
I spłoszona a drżąca, na pół pomieszana,  
Między omdlałe nogi wpuściła młodziana,  
Odrzuciwszy falbany jednym śmiałym ruchem.  
Jak klin, kiedy go z wierzchu uderzą obuchem,  
Tak się wbił pan Tadeusz bez pomocy ręki  
W ukryte w cieniu spódnic Telimeny wdzięki;  
A czując, że jej piersi wznoszą się jak fala,  
Wzrok namiętny krew młodą w żyłach mu rozpała;  
Nie cofa się, lecz dąży bez zastanowienia  
Do miejsca, które zwie się szaleńcem zapomnienia.  
Jak kłacz, kiedy jej jezdziec wbije w bok ostrogę,  
Nagle rzuca się naprzód bez względu na drogę,  
Tak też i Telimena, jak ostrogą spięta,  
Rzuciła na przód ciałem, a białe rączęta  
Wokoło Tadeusza owinęła szyi.  
Równocześnie jej nogi, jak pierścienie żmii,  
Skrepowwały młodziana tak, że się zdawało,  
Iż razem obydwójce jedno tworzą ciało.  
Pan Tadeusz był młody, zdrów i wytrzymały,  
Przy tym zbyt wypoczęty, więc swoje zapamiętały  
Z rozkoszą w Telimenie utopić był gotów;  
A że przyszedł do tego prawie bez kłopotów,  
Nie poskąpił też za to ochoty i siły.  
Więc go też jej rączęta jak węże spowiły  
I pulchne białe nogi ścisnęły jak kłeszcze,  
Usta zaś wyszeptały: Tadeuszu, jeszcze!  
Zaczął się nad nią znęcać jak kogut nad kura,

Lecz mu po małej chwili oczy zaszły chmurą,  
Oddechu brakło w piersiach, więc zrezygnowany,  
Dając raz jeszcze nurką pomiędzy falbany,  
Zmęczony, legł na miękkim Telimeny łonie  
Ukrywszy na jej piersi rozpalone skronie.  
Telimena, widząc to, nie zrezygnowała,  
A że prócz doświadczenia spryt i rozum miała,  
Zatem drażniąc ustami Tadeusza wargi,  
Szepnęła pieszczotliwie kilka słówek skargi:  
Wszak to było dla ciebie, a co dla mnie będzie?  
I mając swoje chuci jedynie na względzie,  
Jęła go palić wzrokiem, uśmiechem czarować,  
Wodzić ręką po ciele, namiętnie całować,  
Wpiła w niego swe wargi, na koniec zemdlona.  
Przycisnęła namiętnie młodzieńca do łona.  
Poznał tedy Tadeusz, z kim ma do czynienia,  
Co znaczy dobra szkoła obok doświadczenia.  
Już mu teraz pomogła własnymi rękami,  
Własnym ciałem - prócz tego czułymi słówkami  
Błagała, by rozkoszy nie popsuł pośpiechem:  
Bo przecież noc nie zając - mówiła z uśmiechem -  
Nie ucieknie! Wszak prawda, ty moje kochanie?  
Jakże to nie być czułym na takie wezwanie!  
Jak Moskał, gdy zagrają Boże cara chrani,  
Tak rzucił się Tadeusz. Telimena w dani  
Wtórna zniosła z młodzieńczej ochoty ofiarę.  
Gdyby się teraz hrabia zjawił na chwil parę,  
Miałzeby co szkicować: Ponad spódnic zwoje  
Sterczało rozdzielonych białych kolan dwoje;  
Niżej, w falban, koronek napiętrzonych górze,  
Nuża się pan Tadeusz niby w białej chmurze,  
Pod nim się Telimena zadyszana wije,  
Włos rozwiany, w nieładzie w murawie się kryje.  
Pierwszy powstał Tadeusz wnet ubiór poprawił,

Przez chwilę jeszcze oko Telimeny bawił,  
Która leżąc omdlała i z sił wyczerpana,  
Ledwo z jego pomocą wstała na kolana.  
Wnet poprawiła włosy, wstążki i falbany,  
A widząc, że Tadeusz, nieco zadumany,  
W te do niego bez gniewu ozwała się słowa:  
Sądzę, że w tajemnicy wszystko pan zachowa.  
Zwłaszcza że czyn pański był nieco zuchwały.  
Mówię to ni dlatego by prawić morały,  
Lecz postąpić w ten sposób z kobietą uczciwą,  
Może nieco zalotną, czułą i wrażliwą,  
Korzystać z jej niemocy, wyzyskać jej słabość,  
Łagodnie panu powiem, to była zuchwałość.  
To niegodne, mój panie!... Jednak wiek twój młody,  
Dzień gorący i mrówki, które do swobody  
Szerokie dały pole, biorąc pod uwagę,  
Przebaczam... Cóż mam robić?... Kto taką odwagę  
Wobec damy okazał, jak pan to uczynił,  
Ten by tylko w jej oczach zyskał, nie zawinił.  
I kiedy ją Tadeusz ścisnął za kolana,  
Grożąc palcem, wyrzekła: Oj, łotrzyk z waćpana!